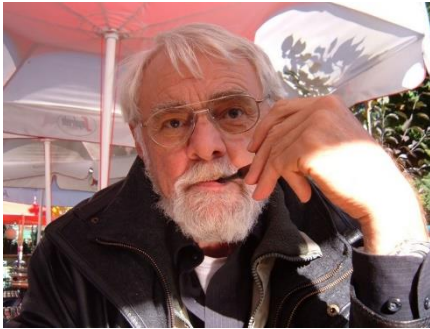


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Ludzie bezdomni...

Bezdomność to uczucie, które zniewala swoje ofiary i często bywa ich tragicznym końcem. Nie ma kraju, w którym nie byłoby ludzi bezdomnych i często jest ich tysięcy. Mnoży te liczby globalizm, toczące się wojny i katastrofy, jak choćby to straszliwe trzęsienie ziemi na pograniczu Turcji i Syrii. Wypływa na ulice tych biedaków system opieki społecznej, polityczne idee, zepsucie naszej cywilizacji, tryby braku opieki nad rodziną, zamknięte na biedę serca.

Kazimierz Iwosse

Bezdomni weszli do mego serca dawno temu w tym obcym, portowym mieście Hamburgu. Pamiętam, po lewej stronie wielkiej bryły dworca kolejowego ciągnął się długi trawnik okolony od ulicy niskim, betonowym murem. Było to jedno z ważnych miejsc, gdzie gromadzili się właśnie bezdomni. Wisiała nad tym ruchliwym miejscem jakaś melancholia, smutek, czasami lubieżna wesołość, którą podparła łyk alkoholu prosto z butelki. Sam nie wiem dlaczego polubiłem to miasto, w którym bywaliśmy z żoną często na wgląd, że mieszkała tu nasza córka, Iwonka. A przecież wtedy to nie był dla nas raj, bo w końcu słońce Eu inne i inny tu świat, i radość tu inna, a jak mówi poeta: nie każdy tu brat.

Bywało, że siadywałem obok nich na murku. Nie zwracali na mnie uwagi, nie zaczepiali, bo pewnie tęsknota za innym życiem zaciskała im krtań. Wydali mi się zagubieni w buszu tej metropolii. Częstośwałem ich papierosami i też milczałem. Zwierzyłem się kiedyś przyjacielowi Rysiovi Wojtyłce, aktorowi, który znalazł się tu jako uchodźca z Wrocławia, że chciałem wejść w to bezdomne towarzystwo, wyciągnąć do nich rękę, głodnych, chorych, pijanych przez niemoc i zły los zniewolonych, samotnych z rozbitych rodzin, do nich wszystkich walczących o miejsce na ziemi, ale przyjaciel przestrzegł mnie:

– Nie rób tego, natychmiast cię wywęszą, rozpoznają, że nie jesteś jednym z nich. Może złapią cię na tym, że chcesz pisać książkę o nich, bo zdradzą cię podeszwy twoich butów, porządnie zasznurowane i skarpetki bez dziur. Zdradzą cię odprasowane kanty u spodni, porządnie utrzymana twoja bródka, zapach wywęszą i zdradzi cię twój wzrok. I to, że zechcesz dotknąć gończym niuchem rozognionej rany ich tułactwa. Tu niebo jest szare nad ich głowami i nie dasz im błękitu. Ich bieda ma tysiąc różnych twarzy i każdą trawi ból i pomyślą, że chcesz rozdrzeć ich rany i losu zrządzeniem. Daj obie spokój...

Pewnie miał rację. W tym ich tułactwie i biedzie panował jakiś ład i porządek. Pomyślałem nawet, że tworzyli tu swoją prywatną komunę, coś w tym rodzaju wspólnotowego bytu. Oto kiedy ten długi trawnik opanował cień rzucany przez gmach dworca kolejowego, jakby na omówiony znak, kilku z nich się pozbierało, pstrykając ponad głowami przechodniów petami papierosów, traktując to jako swego rodzaju dyscyplinę sportową, ogłaszając zwyciężkę. Tak ruszyli na stronę wylotowego tunelu dworca. Zapewne byli pośród nich kieszonkowcy, bagażowi wyrwywający z rąk podróżnych bagaże, byli przeszukujący kosze na śmieci i ci żebrzący, znakomicie udających inwalidów, ociemniałych. Wszyscy mieli przy sobie plastikowe torby do pakowania tych zdobycznych skarbów.



Siedząc cały tamten dzień między nimi za-uważałem, że byli bezimienni, ale każdy z jakimś przezwiskiem, oczywiście wszyscy bez stałego miejsca zamieszkania, bez rodziny i bez przyjaciół. Mimo tego panował między nimi jakiś ład, może nawet po części z nich ten moralny. Wolne ptaki bez obowiązujących praw obywatelskich. Jacyś tacy inni od tych innych, którzy mijali ich w tym miejscu obojętnie. Zauważyłem wtedy, że w autobusach, w przedziałach kolejowych, zawsze wokół takich było sporo miejsca, bo załatywali swoją bezdomnością. Nikt nie patrzył im w oczy, omijając obojętnie wyciągniętą rękę. Tacy bezdomni zatem odłączają się od społeczeństwa, żyjąc własnym życiem, samotnym, odrąconym i często bezradnym. Mimo wielu działań, opieka społeczna cały czas kuleje.

Bo dziwny to świat, kobiet i mężczyzn, którym w życiu się nie powiodło, lądując na śmietniku tego świata, wybierając błogostawieństwo tej wolności. I nie klną na ten świat, nie złorzeczą, że im się nie powiodło i nie proszą o łaskę naszego miłosierdzia wiedząc, że w tych czasach dany im świat się zbiesił...

Kazimierz Balawejder

czas nadszedł

jutro znów będziesz
panną młodą
założysz welon
z mgieł bieszczadzskich połonin
Mendelsona
zanucą świerki i buki

odnowimy magiczne słowa
przy krzyżu na Tarnicy
zagra nam Bies i Czad
wypijemy toast
z wody źródlanej do dna
przybędzie wiersz

potem dalej
łąkami w kwiatów tęczę
przez górki i doliny
gdzie niebo zawsze jasne
usiądziemy na kamieniu
zapatrzeni w skał szczyty
inni a wciąż ci sami

pozwała wracać

płynie moja rzeka
drży powietrze
na ścieżkach
taniec jesienny
tęsknota liczy siwe włosy
wiersz zapisuje
w głębinie niepowtarzalności

zapisuje las
wzgórza
same przed sobą
zioła przenikają
w splecione trawy
usiłują wyrwać się ciszy
ubrać zbliżając się puentę

ptaki na niebie
rozciągają kształt
wiolinowego klucza
aniołowie modlą się
przy Madonnie
która wysłucha nie odrzuci

oczy zdradzają więcej
nie dziw się
piękno wznosi toast
idę już wiele lat
czuję jakbym zaczynał

